

JAK IM PRZEBACZYĆ? c.d.

Na skidelskim szlaku

2 Pułk Ułanów Grochowskich w składzie Suwalskiej Brygady Kawalerii, dowodzonej przez gen. Zygmunta Podhorskiego, tocząc walki z Niemcami, przebiegał się na południe. Szlak bojowy zakończył bitwą pod Kockiem.

Tymczasem ośrodek formowania oddziałów zapasowych 2 Pułku, przeniesiono w połowie września z Białegostoku do Wołkowyska. Tu, w koszarach 3 Pułku Strzelców Konnych, sformowano Zapasową Brygadę „Wołkowysk”, pod dowództwem płk Edmunda Heldut-Tarnasiewicza. Po napaści sowieckich na Polskę gen. Wacław Przędziecki zarządził wymarsz całego garnizonu w kierunku Wilna. Gdy sowieci zajęli Wilno 19.09., generał nakazał marsz do Grodna.

Tabory, obładowane sprzętem wojskowym, poruszały się wolno, tarasowały drogi i nie nadążały za kawalerią. Oddział taborów 2 Pułku Ułanów Grochowskich, w składzie około 50 zaprzęgów i ponad stu żołnierzy, dowodzony przez rotmistrza Wiśniewskiego, zatrzymał się w majątku Żołudek. Żołudek był siedzibą księcia Ludwika Czetwertyńskiego. Księżę Ludwik i jego żona Róża z Radziwiłłów, otoczyli zmęczonych żołnierzy troskliwą opieką. Na tabory kazali załadować sporo zapasów ze spiżarni i piwnic.

– Skorzystajcie chociaż wy, bo jak przyjdą bolszewicy, to i tak wszystko nam rozgrabią – stwierdził książe.

Jego najstarszy syn Andrzej postanowił przywdziać mundur i razem

z żoną przyłączyć się do oddziału rtm. Wiśniewskiego. Ożenił się wiosną 1939 roku z Różą Dembińską i teraz, w tak niespokojnym czasie, zakochani w sobie małżonkowie nie chcieli się rozstać.



*Andrzej Światopelk Czetwertyński i Róża z Dembińskich w czasie ślubu.
Warszawa 30 IV 1939 r*

– W mundurze będę bardziej bezpieczny niż jako cywil – argumentował książe Andrzej – nawet jak trafię do niewoli, to jako jeńiec wojenny będę chroniony przez Konwencję Genewską.

Przed odjazdem księżna matka poprosiła synową do swojej komnaty. Wyłożyła na stół klejnoty rodzinne.

– Wybierz sobie trochę tego – po-

wiedziała – może wam będą bardziej potrzebne, aniżeli nam, tutaj w Żołudku. I tylko przyrzeknij mi, że będziesz chronić Andrzeja, bo on jest taki... odważny, porywczy... Obydwie kobiety roniąc łzy uściskały się na pożegnanie.

Wśród kadry oficerskiej rotmistrza Wiśniewskiego znajdował się były Halerczyk por. rez. Ludwik Samsel. W okresie międzywojennym służył w pułku lotniczym w Lidzie, po kraksie lotniczej musiał odejść do rezerwy, jednak jako żarliwy patriota nadal pracował na rzecz obronności kraju. Zajmował różne stanowiska w administracji państwowej. Ostatnio był prezesem Związku Inwalidów Wojskowych w Białymstoku. Po wybuchu wojny natychmiast ochotniczo wstąpił do wojska.

Polskie władze apelowały ażeby młodzież męska, z terenów zajmowanych przez Niemców, przemieszczała się na wschód. Istniała bowiem konieczność zgromadzenia na wschodzie odpowiednich zasobów ludzkich, potrzebnych do uzupełnienia strat w wojnie z Niemcami.

Wśród setek mężczyzn wędrował na wschód szesnastoletni Eugeniusz Samsel z Białegostoku. Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że Eugeniusz spotkał się z ojcem w majątku Żołudek. Radość z przypadkowego spotkania była wielka. Obydwaj postanowili nie rozstawać się z sobą. Dopasowanie munduru wojskowego na roslęgo chłopca nie sprawiło kłopotu.

Kilka lat wstecz zetknąłem się ze starszym panem Eugeniuszem Samselem, zamieszkałym w Warszawie. Pan Eugeniusz wspominał ze smutkiem przeżycia wrześniowe.

„ ... obciążonymi taborami wolno pokonywaliśmy drogę do miasteczka Skidel. Księżę Andrzej, w mundurze podporucznika jechał na prywatnym motocyklu, natomiast jego piękna żona, pełniąca funkcję sanitariuszki, usadowiła się na bryczce.

W rejonie miejscowości Kamionka natknęliśmy się na kolumnę sowieckich tankietek. Podjęcie walki nie miało sensu, bo przewaga sowietów była rażąca. Rotmistrz Wiśniewski omówił z sowieckim komandirem warunki kapitulacji i kilka tankietek odkonwojowało nas do Skidla, gdzie przekazani zostaliśmy w ręce miejscowego komitetu rewolucyjnego. Skidelscy komuniści natychmiast zamknęli nas w budynku kina. Nazajutrz, chyba 23 września około godz. 10 wyprowadzili nas z kina i ustawili w dwuszeregu. Odbyła się selekcja jeńców. Oficerów, podoficerów i małżeństwo Czetwertyńskich oddzielono od szeregowców i na powrót odprowadzono do aresztu.

My, to znaczy szeregowcy, w dalszym ciągu staliśmy w dwuszeregu, czekając na rozstrzygnięcie naszego losu. Wśród szeregowych żołnierzy byli również Białorusini i Żydzi. W komitecie skidelskim też było dużo Żydów. Jeden z nich, pełniący przy nas wartę, dogadał się z żołnierzami narodowości żydowskiej. Od tej chwili przyjął wobec nas wszystkich przychylniejszą postawę i prawdopodobnie swoją przychylnością podzielił się z innymi członkami komitetu.

W tym czasie, za płotem na rynku, odbywały się, uroczystości pogrzebowe komunistów, którzy polegli w walkach o Skidel. Dolatywały nas strzępy przemówień i powtarzające się okrzyki.

Kiedy tłum zebrany na rynku zorientował się, że za płotem stoją polscy żołnierze, posypały się na nas kamienie. Zaistniała sytuacja niejako przyspieszyła decyzję w naszej sprawie. Odkonwojowano nas na skraj miasteczka i kazano rozejść się w swoje strony. Ja chciałem powrócić i dołączyć do ojca, ale ten przychylny Żyd z czerwoną opaską na rękawie, kategorycznie sprzeciwił się temu.

– Ty też waż się wracać! Ty ojca nie zobaczysz, a z tobą może być gorzej! Uciekaj stąd prędko jak ciebie wolno puścili, bo jeszcze mogą zawrócić. Wraz z dwoma innymi mieszkańcami Białegostoku wybrałem się w uciążliwą i niebezpieczną podróż powrotną. Ojca nigdy już więcej nie zobaczyłem...”

Dociekając prawdy o losie Róży i Andrzeja Czetwertyńskich nawiązałem kontakt z księżną Karoliną Czetwertyńską, córką księcia Konstantego ze Skidla, która w sierpniu 1939 roku wyjechała do Warszawy, a obecnie mieszka w Szwajcarii. Księżna Karolina wspomina:

„... było to chyba w październiku 1939 roku, gdy odnalazł nas w Warszawie wymizerowany mężczyzna, przybywający ze Skidla. Powiedział, że nazywa się Wasilewski, albo Wiśniewski(?). Twierdził, że Róża Czetwertyńska była w Skidlu zwolniona z aresztu. On, zamierzając przedzierać się do Warszawy, namawiał ją aby udała się razem z nim. Pani Róża powiedziała, że nie opuści męża i dopóki jest nadzieja na jego uwolnienie nie ruszy się ze Skidla. Dodała jeszcze, że ma ukryte kosztowności w opasce na udzie i spróbuje wykupić męża. Mężczyzna prze-

strzegął, aby bolszewikom nie ufała, bo zabiorą jej kosztowności, a męża nie uwolnią. Pani Róża nie usłuchała dobrych rad. Podeszła do wartownika stojącego przed drzwiami siedziby komitetu rewolucyjnego. Ten, początkowo odpędzał ją kilka razy, a w końcu otworzył drzwi i wepchnął ją do środka...”

Podczas okupacji niemieckiej pani Karolina otrzymała w Budapeszcie, gdzie czasowo przebywała, list ze Skidla od syna ogrodnika zatrudnionego w majątku jej ojca. W liście znajdowała się, między innymi, informacja, że w Skidlu na zwirowisku, w pobliżu rzeki Skidlanki, rozstrzeliwano Polaków. W tym miejscu zamordowani byli Róża i Andrzej Czetwertyńscy w grupie dziesięciu innych Polaków.

W Skidlu nie odnalazłem żadnego śladu po wspomnianym ogrodniku, natomiast poznałem starszą panią M. z polskiej rodziny Jankowskich, pracowników służby dworskiej księcia Konstantego Światopełka Cz. w Skidlu. Kobieta miała wtedy 12 lat i dobrze zapamiętała egzekucję Polaków na zwirowisku, w której zginął młody książę Andrzej i jego żona.

Konwojenci przyprowadzili na zwirowisko kilkunastu wojskowych wśród których był książę Andrzej i jego żona. Ustawili ich na skraju urwiska. Młodzi małżonkowie, przytuleni do siebie, objęli się oburącz.

Jakiś ważny członek komitetu rewolucyjnego podszedł do skazańców i pociągnął kobietę za rękę.

– Ty uchadi!

Róża trzymając męża w objęciach nie poruszyła się nawet.

– Uchadi ty durna! Jego nie uratujesz, a sama zginiesz – zawołał wyraż-

nie zirytowany mężczyzna.

– Jak chcecie mordować mojego męża to zabijcie i mnie, razem z nim.

Słowa Róży wykrzywane w rozpaczy, usłyszeli i zapamiętali liczni świadkowie egzekucji.

Sowieccy żołdaci, stojący gromadką, byli mocno zdziwieni postawą młodej kobiety. Nie mogli zrozumieć dlaczego taka ładna kobieta dobrowolnie idzie na śmierć za jednym mężczyzną. Wychowani w stalinowskim reżimie przemocy uznawali tylko dwie naczelnne wartości: swoją siłę wobec słabszych i paniczny lęk przed tymi, którzy rządzą ich losem.

Konsternacja gapiów nie trwała długo. Oddział egzekucyjny uniósł karabiny.

– Niech żyje Polska! – krzyknął ktoś ze skazańców.

Huknęła salwa karabinowa. Ciała Polaków, rażone kulami, osunęły się do jamy żwirowiska. Czetwertyńscy, spleceni ramionami, wciąż stali w objęciach na swoim miejscu. Stali jak żywy pomnik, symbolizujący miłość silniejszą od śmierci. Tłum gapiów umilkł z wrażenia.

Wtedy spośród żołdatów wysunął się do przodu krępy oficer.

– Ot, wy strzelki! Strzelki... krzyknął z pogardą.

Podszedł do Czetwertyńskich i strzelił do nich kilka razy z nagana. Kobieta i mężczyzna trzymając się wciąż w objęciach spadli razem do dołu.

– Z etawo nagana ja kniazia ubił! Ja ubił polskowo kniazia! – wrzeszczał sowiecki oficer unosząc dumnie naganą do góry.

– Dużo Polaków tu rozstrzelali, ale

najbardziej zapamiętałam tę kobietę, która za mężem poszła sama na śmierć – mówi pani M. i ociera łzę z policzka.
– Później taki jeden chwalił się wszystkim, że nosi eleganckie buty po księciu – dodaje kobieta.

Nielicznym Polakom, aresztowanym przez skidelski komitet rewolucyjny udało się, cudem prawie, uniknąć śmierci na żwirowisku. Jednym z takich szczęśliwców jest pan Z. Wesółowski, zamieszkały obecnie w Anglii.

„... Na apel ówczesnego rządu polskiego, nadawany przez radio, aby mężczyźni zdolni do noszenia broni wycofywali się na wschód, wraz z ojcem i młodszym bratem wyjechałem z miejscowości Czarna Wieś kierując się w stronę Grodna i Lidy – wspomina.

Siedemnastego września minęliśmy Skidel wędrując dalej do Szczuczyna. W Szczuczynie było dużo wojska polskiego. Zarówno ludność cywilna jak i wojsko, spodziewając się rychłego wkroczenia Sowietów, zachowywali się dość nerwowo. Rano 19, lub 20 września wjechały do Szczuczyna cztery sowieckie czołgi zajmując pozycje na rogatkach głównego placu. Na balkonie jednego z domów przy placu pojawił się sowiecki oficer i już w pierwszych słowach powiedział: „Polszy niet. Bękart traktatu wersalskiego przestał istnieć”. Sympatycy Sowietów, przeważnie Białorusini i Żydzi, bili brawa. Wielu Polaków nie ukrywało przygnębienia, a nawet płakało. Naraz posłyszałem strzał. Obróciłem się do tyłu i zobaczyłem młodego oficera leżącego na bruku. Strzelił sobie w usta i kula wyrwała mu dużą dziurę w głowie.

Nazajutrz, pomimo pogłosek o grabujących bandach, które rabują i mordują Polaków, postanowiliśmy wyruszyć w powrotną drogę do domu. Za miastem zatrzymał nas patrol sowiecki i kazał zawrócić, aby uzyskać odpowiednie przepustki. Poczekalnia sowieckiego urzędu była zatłoczona ludźmi, przeważnie kobietami z dziećmi. Okazało się, że są to głównie żony osadników, aresztowanych przez prosowieckie bandy. Na twarzach ich malowało się przygnębienie, nędza i rozpacz. W rozmowie z ojcem mówiły, że ich mężowie zostali prawdopodobnie zamordowani, a one usiłują odnaleźć ich ciała, by pochować je na cmentarzu. Osadniczki były wyraźnie ignorowane, nikt z władz nie chciał z nimi rozmawiać.

Wracając do Skidla napotykaliliśmy trupy ludzi leżące przy drodze. Niektóre ciała były odarte z ubrań, a wszystkie pozbawione butów.

W Skidlu widoczne były jeszcze ślady walk, jakie toczyło nasze wojsko z dywersantami i wojskiem sowieckim. Most na rzece Skidlance był zerwany zaś w korycie rzeki leżała ciężarówka z oznakami sowieckiego wojska.

W miasteczku zostaliśmy natychmiast aresztowani. Odstawiono nas na plac, na którym siedziało wielu ludzi w jednym szeregu. I nas posadzono w tym szeregu. W rogu placu, koło szopy, leżały dwa trupy. Jeden policjanta, a drugi żołnierza prawdopodobnie oficera.

Pilnujący nas ludzie ubrani byli w rubaszki, a na rękawach mieli czerwone opaski. Jedni stali wokół placu, inni przyglądali się ludziom siedzącym w szeregu. Po jakimś czasie kazali nam

położyć ręce na głowie i patrzeć w dół. Atmosfera była pełna grozy. Miałem wówczas 16 lat i nie chciałem rozstać się z życiem, a na to zanosilo się wyraźnie. Oprawcy przechodzili wzdłuż szeregu i wybranym przez siebie ofiarom strzelali w tył głowy. Bliższe mnie zastrzelono trzech policjantów, a nieco dalej przyzwolicie ubranego cywila. Następnie zaprowadzono mnie do budynku i zamknięto w małej ciemnej celi. W drzwiach dostałem kopniaka w tyłek i wylądowałem na czyjejś głowie. Nie wiedziałem co stało się z moim ojcem i bratem. Po jakimś czasie wpełnięto do celi brata, ale i on nie znał losu ojca.

W celi nie było okien, panował w niej zaduch i ciasnota. Więziono tu z nami jakiegoś polskiego arystokratę, więźniowie mówili, że to książę Sapieha z majątku Kamionka. Nigdy jednak nie miałem okazji dowiedzieć się kto to był naprawdę.

Jestem przekonany, że nikt z naszej trójki nie wyszedłby żywy ze skidelskich tarapatów, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności. Mianowicie oficer NKWD, który przesłuchiwał ojca miał brata zamieszkałego w Polsce, którego dobrze znał nasz ojciec. Ten fakt, drobny na pozór, całkowicie odmienił nasz los. Samowładny enkawudzista zwolnił nas z aresztu. Przed zwolnieniem powiedział ojcu „udzieraj” stąd jak najszybciej, bo inaczej zginiesz.

Przeżycia w Skidlu, Szczuczynie i lanie jakie dostałem podczas przesłuchania, na zawsze pozostały w mojej pamięci. Urodzony i wychowany w Polsce międzywojennej nie przypuszczałem, że we własnym kraju mieliśmy tak silnie rozbudowaną i zakon-

spirowaną dywersję sowiecką.”

W okolicach Indury

Miasteczko Indura, położone po wschodniej stronie Niemna, odgrywało ważną rolę w przedwojennej strukturze Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi (KPZB). Utworzono tu silny „rejkom”, który skomunizował skutecznie kilka wiosek białoruskich, takich jak: Baranowo, Koniuchy, Jarmolicze, Kowalicze, Zarubicze, Doroszewice itp. We wrześniu 1939 roku gorliwi aktywiści byłej KPZB, inspirowani przez sowieckie służby specjalne, tworzyli komitety rewolucyjne („rewkomy”), które osławiły się mordowaniem polskich patriotów.

W miejscowości Kwasówka do wybuchu wojny mieszkało około 95% polskich rodzin. W dniu 17 września, po nabożeństwie, przed kościołem, zebrał się tłum ludzi. Publicznie komentowano wiadomość o agresji sowieckiej. Sołtys Władysław Szota, człowiek doświadczony i zorientowany w sytuacji politycznej stwierdził, że napaść sowiecka jest nożem w plecy Polski i po sowietach można spodziewać się tylko najgorszych rzeczy.

Upłynęły zaledwie dwa dni wypełnione udręką i nerwowym wyczekiwaniem, a już prorocze słowa mądrego sołtysa zaczęły spełniać się. Dywersanci komunistyczni pobudowali bramy powitalne dla wkraczających krasnoarmiejców, a następnie rozpoczęli aresztowania i mordowanie Polaków wyróżniających się oświeceniem, zamobnością lub patriotyczną postawą. W impecie rewolucyjnego szału mordowania zdarzały się również przypad-

ki zakatowania prawosławnych popów.

Dywersanci z Baranowa aresztowali Władysława Szotę i sekretarza gminy pana Glonka. Uwięziono ich w remizie strażackiej, która zamieniona została na areszt zbiorczy. Wkrótce dowieziono tu także aresztowanego w Bojarach hrabiego Michała Krasieńskiego, Stanisława Skarzyńskiego, Adamczewskiego oraz Sopotnickiego. Do zbiorczego aresztu w Kwasówce trafili również Władysław Homanowski, nauczyciel Leonard Polkowski ze Swisłoczy i Andrzej Moćko – sołtys wioski Kowalicze.

Pan Glonek wydostał się z aresztu i gdy tylko znalazł się na wolności niezwłocznie uciekł z Kwasówki, zabierając z sobą żonę Janinę, tutejszą nauczycielkę.

22 września około godziny 15.00 wyprowadzono wszystkich Polaków z aresztu i rozstrzelano na pobliskiej, podmokłej łące. Ostatni padł Polkowski. Zdążył jednak jeszcze przed śmiercią podnieść do góry czapkę i zawołać:

– Jeszcze Polska nie zginęła!

Charakterystyczną rzeczą jest to, że dzień dokonania morderstwa w Kwasówce pokrywa się w czasie z morderstwem osadników z Lerypola i Budowli, dokonanych przez „rewkom” obuchowski. Występują też inne analogie świadczące o dowodzeniu z wyższego szczebla.

Na miejscu kaźni w Kwasówce zakopano w ziemi ciała zamordowanych mężczyzn bez trumien i obecności księdza.

Największy kat Konstantin Baranowski został prezydentem sielsowietu w Kwasówce. Miejscowi Polacy bali się oficjalnie pielęgnować zbioro-

wą mogiłę na łące. Skradali się pod osłoną nocy i kładli na niej bukiety kwiatów. Kiedy jednak wytyczony kanał melioracyjny miał przechodzić przez środek mogiły mieszkańcy Kwasówki sprzeciwili się temu z dużą determinacją. W następstwie tego ekipa pracująca przy kopaniu kanału wykonała obejście mogiły.

Po wkroczeniu Niemców dokonano ekshumacji zwłok i szczątki zamordowanych Polaków pogrzebano na cmentarzu. Żandarmi niemieccy tropili komunistów, obciążonych zbrodniami ludobójstwa. Rozstrzelali Konstantina Baranowskiego, Lefta i wielu innych.

W sąsiedztwie dóbr Krasińskich, po drugiej stronie Swisłoczy, znajdował się majątek 250 h, dzierżawiony przez Kościucha, a dalej majątek nieco mniejszy, dzierżawiony przez Kazimierza Sarosieka. Obydwaj dzierżawcy zdążyli uciec zanim przyszedli do nich miejscowi komuniści.

Rzadko takie ucieczki kończyły się pomyślnie. W Brzostowicy Wielkiej trzech policjanci: Piotr Ostaszewski, Piotr Łojko i Michał Tomaszewski zostali ostrzeżeni o grożącym im niebezpieczeństwie. Postanowili ratować się ucieczką. Trzema furmankami, wraz z rodzinami, wyjechali z Brzostowicy w kierunku Szeletek. Dywersanci zorganizowali pościg i zaczęli ich doganiać. Wtedy policjanci zeskoczyli z wozów próbując ukryć się w pobliskim lasku. Postrzelony Tomaszewski upadł na polu przed skrajem lasku. Pozostali dwaj uciekinierzy szczęśliwie skryli się między drzewami, ale krąg ścigających zacieśniał się coraz bardziej. Policjanci postanowili nie oddawać się żywcem w ręce rozjuszonych

napastników. Ostaszewski ukląkł, przegnął się i przystawił pistolet do skroni. Jednak nie miał odwagi odebrać sobie życia. Wtedy Łojko zastrzelił Ostaszewskiego, a następnie wypalił sobie w serce. Białorusini dopadli martwych policjantów. Rozczarowani wielce, zaczęli z furią kłuć bagnetami martwe ciała.

Rannego Tmaszewskiego woźnice zabrali z pola i ostrożnie ułożyli na wozie. Napastnicy otoczyli wozy. Jedni plądrowali je, inni bili rannego Tomaszewskiego. Powstał nieopisany chaos. Ponad lament kobiet i przekleństwa komunistów przebiegał się piskliwy krzyk dzieci.

– Nie bijcie tatusia! Nie bijcie tatusia!



Tadeusz Ursyn Niemcewicz, zakatowany przez komunistów z wioski Jarmolicze

Na południe od Indury położone są wioski Jarmolicze i Koniuchy. W ich sąsiedztwie znajdował się majątek Mandzin, należący do rodziny Tadeusza Ursyn Niemcewicza. 26 września, w pobliżu mostu na Swisłoczy, Iwan Kowszyk, Michaił Jakimowicz i Jerzy

Żurniewicz, komuniści z Jarmolicz, zamordowali Tadeusza Ursyn Niemcewicza, zadając mu szereg ciosów łopatą w głowę i dobijając bagnetem. Następnie zdarli z ofiary buty i ślubną obrączkę, którą nosił później Żurniewicz.

Pewnego dnia, podczas okupacji

wyższości kultury w jakiej wychowywano Polaków. We wsi Bobrowniki, około 7 km od Indury, aresztowano 13.06.1940 roku pięciu mężczyzn (kułaków), a wśród nich Antoniego Mieszko, gospodarującego na 25 hektarach ziemi. Wszyscy przepadli bez wieści. Niemiecka żandarmeria wypytywa-



Zbiorowa mogiła Polaków zamordowanych w Kwasowce

niemieckiej, żona Tadeusza Ursyn Niemcewicza była wezwana przez żandarmów na konfrontację. Wśród pokazanych jej Białorusinów kobieta rozpoznała jednego człowieka z Jarmolicz, który uczestniczył w morderstwie jej męża. Jednak kierując się katolicką moralnością, nakazującą wybaczenie winowajcom, orzekła, że nikogo nie rozpoznaje.

Nie był to odosobniony przykład

ła panią Mieszko kto przyczynił się do aresztowania jej męża. I tym razem kobieta nie wskazała nikogo, aczkolwiek sprawcy aresztowania nie uciekli razem z sowietami i nadal mieszkali w Bobrownikach.

Pojawienie się po 17 września uzbrojonych grup Białorusinów z czerwonymi opaskami na rękawach było dla Polaków wielkim zaskocze-

niem. Rozboje i bestialstwa, jakich dopuszczały się one na Polakach, nie dawały się pogodzić z obrazem dotychczasowego zgodnego współżycia Polaków i Białorusinów.



Księżna Karolina Czetwertyńska córka Konstantego Czetwertyńskiego ze Skidła - zamieszkała w Sz wajcarii

Sowiecka propaganda głosiła, że liczne przypadki ludobójstwa były następstwem prywatnych porachunków i waśni sąsiedzkich, jakie zdarzają się w chaosie wojennym. Natomiast bramy powitalne dla wkraczających krasnoarmiejców mieli budować spontanicznie ludzie z własnej i nieprzymuszonej woli. Jedno i drugie było wielkim propagandowym kłamstwem. Jaka była rawda?

Fakty świadczą, że przez całe dwudziestolecie sowieci prowadzili dywer-

sję na polskich terenach wschodnich. Dziś nazwać to można terroryzmem państwowym. Do 1925 roku sowieci przerzucali na polską stronę oddziały czerwonych partyzantów. Po utworzeniu KOP rozpoczęli dywersję polityczną, rozbudowując w Polsce konspiracyjne struktury partii komunistycznej. Po stronie sowieckiej pracowały na rzecz dywersji całe sztaby doświadczonych specjalistów. W Mińsku utworzono szkołę partyjną KPZB oraz spec Oddział NKWD do spraw dywersji na Polskę. Obydwa ośrodki kierowały do pracy wyszkolonych organizatorów dywersji.

Na terenach polskich systematycznie powiększano struktury partii komunistycznej, rozszerzano sieć kolportażu sowieckiej prasy, broszur i ulotek. Agitatorzy sowieccy przez długie lata ogłupiali nieoświeconych ludzi ideologią nienawiści, robili im bełty w głowach iluzorycznymi wizjami szczęśliwego życia w rodzinie bratnich narodów radzieckich. W tej prymitywnej agitacji tkwiła rażąca obłudność, bowiem w tym właśnie czasie narody radzieckie cierpiały wielki niedostatek, a na Ukrainie miliony ludzi umierały z głodu.

Wieloletni i wysoce kosztowny wysiłek sowieców zaowocował tym wszystkim, co działo się na Kresach we wrześniu 1939 roku.

cdn.

Bibliografia:

Relacje pisemne: Karoliny Czetwertyńskiej, Witolda Ursyn Niemcewicz, Haliny Pękalskiej-Nowak, Z. Wesółowskiego.

Relacje ustne: Eugeniusz Samsel, p. M. ze Skidła, p. B. Z Kwasówki.